

165
MAŁO
RADOŚCI

Rozpoczęcie cyklu felietonów telewizyjnych w czasie letniej kanikuly wydaje się sprzeczne z logiką. Ale gwałtownie kurcząca się ilość interesujących programów zwalnia w znacznym stopniu ze sprawozdawczych serwitutów. Tworzą się więc luzy na ogólniejszą refleksję...

I tak na przykład nadana przed mniej więcej dwoma tygodniami, przez Teatr Telewizji Katowickiej, adaptacja opowiadania Antoniego Czechowa pt. „Tragedia na polowaniu” dała mi trochę do myślenia na temat przyswajania literackich tekstów niedramatycznych dla potrzeb teatru tv.

O adaptacjach pisze się u nas ostatnio bardzo wiele i nie zawsze sensownie. Zdarza się często pełen lekceważenia stosunek krytyków do adaptatorów, czy powtarzając pejoratywne określenie — przerabiaaczy. A jednak, czy się to komu podoba czy nie, telewizja domaga się adaptacji. „Stoi” na adaptacjach, chciałoby się powiedzieć. Stale łaknąca, stale w pogoni za tekstem, przypomina legendarnego smoka wawelskiego.

Zjawisko to łatwo wytłumaczyć. Nie wystarczy utworów pisanych specjalnie dla te-

lewizji, nie wystarcza sztuk teatralnych, które po skrótach nadają się na ogół i dla teatru tv. Trzeba zatem sięgać po teksty niedramatyczne, powieści, opowiadania, nowele, poddawać je gruntownej obróbce i zabiegom dramaturgicznym. Bez tych poczynań nie nadałyby się za potrzebami repertuarowymi, nie zaspokoiliby się apetytu Gargantui.

Nie muszę dodawać, że problem to nie tylko polski. Na całym świecie armie szperaczy przekopują się przez wielowiekowy dorobek literatury, odgrzebuja rzeczy dawno zapomniane, otrzepują z kurzu, dokonują ponownej, choć swoistej weryfikacji. Prowadzi ona do zaskakujących nieraz rezultatów: znakomity utwór literacki okazuje się złym surowcem dla adaptacji telewizyjnej, a odwrotnie utwór mierny może ujawnić cechy masy plastycznej, z której doskonale ukształtować można przyszłe widowisko.

Jakie czynniki decydują o trafności wyboru? Odpowiedź na to pytanie jest zbyt złożona, by pomieścić ją w ramach skromnego felietonu. Można jednak sprowadzić wszystko do podstawowego kryterium wi-



dowskowości. I może — abyśmy się dobrze zrozumieli — jeden przykład negatywny, po wtórzonej za zmarłym niedawno świetnym teoretykiem filmu Siegfriedem Kracauerem.

Cytuje on jedną scenę z powieści „Uwięziona” Marcela Prousta jako dowód nieprzekładalności na język widowiska pewnych fragmentów literackich. Jest wczesny ranek. Marcel leży bezsenne w łóżku i przy-

stuchuje się dobiegającym zza okna śpiewnym nawoływaniom paryskich przekupniów ulicznych. Okrzyki ich zlewają się w jedną



całość i Marcel odnosi nagle wrażenie, że słucha śpiewów gregoriańskich. Oto, mówi Kracauer, scena która może wypowiedzieć tylko słowo pisane. W obrazie możemy się pokusić jedynie o ukazanie zjawisk fizycznych ewokujących nastrój Marcela. Nie uda nam się oddać samego nastroju...

Od tej ogólnej dygresji wróćmy do Czechowa i adaptacji jego opowiadania dokonanej przez reżysera Lidie Zankow. Czechow jest pisarzem specyficznym i trudnym. Ważne u niego nie słowo wypowiedziane, ale to przemilczane, ukryte między wierszami tekstu. Nastrój czechowowski jest mistyczny, utkany z rzeczy białych, które pod wpływem jakiegoś niewyraźnego impulsu tracą swą przeciętność, nabierają głębszego sensu.

Przy wystawianiu Czechowa istnieje zawsze niebezpieczeństwo, że tego tajemniczego impulsu zabraknie. Pozostaniemy wtedy w sferze banału i dosłowności. Na plan pierwszy wysunie się niewymyślna anegdota, która u Czechowa spełnia w gruncie rzeczy funkcję służebną.

Obawiam się, że w katowickiej inscenizacji nie udało się uniknąć tego błędu. I choć Leszek Herdegen w roli sędziego śledczego raz jeszcze zasygnalizował swoje rasowe, intelektualne aktorstwo telewizyjne, całość przypominała „Kobrę” w fin-de-siecle'owym wydaniu.

* * *

A teraz już w telegraficznym skrócie o tele-codzienności.

Ubiegły tydzień nie przyniósł na małym ekranie ewenementów. Łódź zainicjowała tegoroczny Telewizyjny Festiwal Teatrów Dramatycznych przeniesieniem do studia spektaklu „Kowal, pieniądze i gwiazdy” Jerzego Szaniawskiego w wykonaniu zespołu Teatru Nowego i reżyserii Olgi Koszutskiej. Spektakl ten, w wersji teatralnej recenzowałem swego czasu na innych łamach, ograniczę się więc do słów uznania dla pełnokrwistej postaci tytułowej w ujęciu Zygmunta Malawskiego.

Poza tym w programie powódź powtórek, jak chociażby słaby w wykonaniu (mimo



niektóre renomowane nazwiska) odcinek serialu „Pocztówka z Rio” Andrzeja Wydrzyńskiego w reżyserii Andrzeja Konica. Realizacja raczej tandetna. W dodatku zapis telerecordingowy zły technicznie.

Hej, mało radości!

Władysław Głowny